

PEKNIETA KOROŃA

GRZEGORZ
WIELGUS



KRAKÓW 2018

Copyright © 2017 GRZEGORZ WIELGUS

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone

Copyright © 2018 Wydawnictwo INITIUM

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja i korekta: ANNA PŁASKOŃ-SOKOŁOWSKA

Korekta: NATALIA MUSIAŁ

Projekt okładki, skład i łamanie: PATRYK LUBAS

Współpraca organizacyjna: ANITA BRYLEWSKA, BARBARA JARZĄB

Fotografia użyta na okładce: AA1495421 Nik Keevil, www.arcangel.com

WYDANIE I

ISBN 978-83-62577-74-3



Wydawnictwo INITIUM

www.initium.pl

e-mail: initium@initium.pl

facebook.com/wydawnictwo.initium

Druk i oprawa: DRUKARNIA WYDAWNICZA im. W. L. ANCZYCA S.A

Rozdział 1

– *Pater noster, qui es in caelis, sanctificetur nomen tuum*¹ – słowa odbijały się echem po skąpanym w półmroku wnętrzu kościoła. Ukryte w cieniu bocznych naw posągi świętych oraz błogosławionych zdawały się słuchać inkwizytorskiej modlitwy, obserwując samotnego mężczyznę oczami pozbawionymi źrenic.

– *Adveniat regnum tuum. Fiat voluntas tua, sicut in caelo et in terra.* – Brat Gotfryd, Pies Pański, żarliwie modlił się o prawdę, najstraszliwszy spośród boskich darów. Prosił o prawdę nagą, pozbawioną skazy, płonąca jasnym światłem, w którym bez trudu będzie można odróżnić dobro od zła. Nawet inkwizytor będzie musiał stanąć kiedyś przed sądem i odpowiedzieć za wszystkie decyzje podejmowane w imię swego Boga. Cóż wtedy pozostanie, jeśli nie prawda?

– *Panem nostrum quotidianum da nobis hodie, et dimitte nobis debita nostra sicut et nos dimittimus debitoribus nostris.*

Opierać się będą grzesznicy przed słowami prawdy, ponieważ pierwszy dotyk zła zawsze jest miękki, racjo-

¹ Ojciec nasz, któryś jest w niebie, święć się Imię Twoje...

nalny i pełen zrozumienia. Zło niesie pocieszenie, czuły-
mi dłońmi odwracając uwagę od okrutnej rzeczywistości,
kierując ją w zamian na miły widok kłamstwa. Prawda
jest surowa, bolesna, a zło z początku nie wymaga – ak-
ceptuje wszystkie wady, sownie wynagradza, zamykając
jednocześnie oczy człowieka na rozpościerającą się tuż
pod jego nogami otchłań zagłady. Żeby grzesznik runął
w przepaść, wystarczy go delikatnie pchnąć.

– *Et ne nos inducas in tentationem, sed libera nos
a malo. Amen.*

Gotfryd uniósł głowę. Posępne oblicze, przecięte
głębokimi zmarszczkami skierował na idącego ku niemu
mnicha Alberta, *provisora* krakowskiego klasztoru domi-
nikanów.

– Coś się stało, bracie?

– Przed furtą czeka jakiś rycerz. Bardzo niemiły je-
gomość – odparł szeptem zakonnik. – Prosi o spotkanie.
Mówi, że to pilne, a także że mnie wybatoży, jak się nie
pośpieszę.

Gotfryd powstał z klęczek. Wyprostował grzbiet.
Chociaż brat *provisor* nie należał do ludzi nikczemnej
budowy, inkwizytor górował nad nim o głowę. Spogląda-
jąc nieruchomymi, błękitnymi oczami na brata Alberta,
Gotfryd skinął i ruszył ku kamiennemu portalowi wyj-
ścia, wyrzeźbionemu na kształt bramy oplecionej pną-
czami winorośli.

Dominikanin opuścił ciemne wnętrza kościoła,
mrużąc powieki przed promieniami majowego słońca,

zalewającymi targ na ulicy Szerokiej. Pomędzy wysokimi ścianami kamienic zalegało powietrze drżące od upału, pachnące kurzem, świeżym chlebem oraz dymem dobywającym się z piekarni od strony Rynku Rzeźniczego. Od muru oddzielającego ziemie klasztorne aż do kościoła Wszystkich Świętych stały rozłożone kramy, uginające się pod ciężarem świeżo zebranych majowych plonów. Ostra zima ustąpiła miejsca łagodnej i deszczowej porze wiosennej, dzięki czemu obfite zbiory wypełniły opustoszałe na przednówku spichrze. Krakowskie rynki tętniły życiem, szumiąc setkami głosów oraz pozwalając przez moment zapomnieć, iż przed kilkunastu laty całe miasto do szczytu splonęło pod uderzeniem tartarskiej hordy. Teraz wielokolorowy tłum przetaczał się od Wawelu poprzez ulicę Grodzką ku wielkiemu rynkowi Krakowa, korzystając z obfitości jedzenia oraz wszelkiego towaru, aby uczcić koniec chudych miesięcy.

Na wapiennym murku kościelnego cmentarza siedział wysoki mężczyzna, odziany w czerń od czubków wypolerowanych butów po szyję obwiązaną ciemną chustą. Herbowy miał nieprzyjemną twarz, nie wynikało to jednak z jakichkolwiek braków w urodzie, lecz z kpiącego uśmiechu na wargach oraz stale przymrużonych oczu, skrzących się szyderstwem. Ciemne włosy, poprzątykane pierwszymi pasmami srebra, opadały mu na ramiona, a niedbały zarost upodabniał pasowanego do najemnych zawadiaków z Zachodu. Zakonnik dobrze znał Jaksę i ufał mu w wielu kwestiach – nie raz zawierał rycerzo-

wi nawet najbardziej delikatne kwestie, których gburowaty kompan bronił z wiernością Argosa, najczęściej wybijając przy tym zęby nadmiernie wścibskim osobnikom.

– Witam brata inkwizytora – powiedział pasowany, obracając w palcach zeszłoroczne jabłko. – Piękny dzień. Nie żał bratu tak w ciemnicy siedzieć?

– Powiedziano mi, że masz dla mnie ważkie wieści – odrzekł sucho Gotfryd, niezbyt rad, że oderwano go od modłów.

– Zgadza się. Mamy piątek, a więc dzień postny. Chciałem przynieść wam rybę, żebyście nie podupadli na zdrowiu od tego ciągłego klęczenia na posadzce. – Jaksza rozłożył ręce na boki. – Niestety, ryby nie mam.

Dominikanin wiedział, iż rycerz – jakkolwiek uszczypliwy w obejściu – nie zalicza się do osób na tyle nierozważnych, by żartować z zakonnika dla własnej uciechy. Pewnikiem istniał ważny powód, dla którego Jaksza przybył do Krakowa z podmiejskich włości, lecz zbrojny nie umiał odmówić swemu rogowatemu charakterowi i od razu przejść do rzeczy; miast tego kluczył wokół meritum sprawy.

– Jesteś tu ponieważ? – Inkwizytor spojrzeniem przeszył Jaksę na wylot, jakby spoglądał na rzędy cmentarnych krzyży, nie dostrzegając siedzącego na murze mężczyzny.

– Chciałem osobiście sprawdzić pułapki na ryby – wyjaśnił pasowany z tajemniczym uśmieszkiem, wciąż bawiąc się owocem. – Ale znalazłem ciało i cały zamysł diabli wzięli.

– Jakby podmyło jakiś cmentarz i znalazłbyś nieboszczyka, nie kłopotałbyś mnie, tylko grabarza. – Mimo sceptycznej reakcji w chłodnych oczach inkwizytora błysnął ognik zainteresowania. – Mówże Jaksa, nie błażnuj.

– Widzę, żeś nie w humorze na krotochwile, braciszku. – Rycerz ugryzł jabłko. – Na trupach się znam, więc stawiam głowę, że nieboszczyk zesłonoćny, a nie topielec. Łeb szlachecki, patrząc po włosach, uduszony i bez palców u lewej dłoni. Na dodatek twarz okaleczona tak szpetnie, że nie sposób powiedzieć kto zaczął.

– Ktoś już wie? – spytał inkwizytor chrapliwie.

– Nie. – Jaksa pokręcił głową, wyraźnie rad, iż zastrygował dominikanina. – Leży u mnie w stodole, na drzwiach. Pacholkom nakazałem pilnować i gęby nie otwierać przed nikim, choćby sam diabeł zaszedł.

– Jedźmy – zdecydował Gotfryd, nieznacznie kiwając głową. – Zobaczymy twojego gościa.

Siedziba Jaksy znajdowała się milę w dół rzeki, na szczycie wyspy otoczonej przez nurt Wisły. Dostać się tam można było jedynie starym mostem ze smołowanych belek. Dworek stał w pewnym oddaleniu od podległych mu wsi, oddzielony bagniskami oraz podmokłym lasem, przez co droga do dawnej stancyi biegła poprzez miejsca niezbyt urodziwe i pełne latającego robactwa, unoszącego się chmurami w ciężkim powietrzu trzęsawisk. Dwie wsie rolne oraz

jedna rybacka były nędznymi skrawkami znacznie większego majątku należącego do dumnej ongiś rodziny, ale Jaksza nie był zbyt skory do wspomniania swych przodków, toteż zazwyczaj, zapytany o przeszłość, gniewnie zmieniał temat. Wrogom lub obcym od razu groził pięściami, znajomych natomiast zbywał ostrym słowem. Sam inkwizytor nigdy nie brał towarzysza na spytki, gdyż jedna wizyta w kasztelu Jaksy wystarczała mu za wszelkie wyjaśnienia.

Sędziwa była to stacja, strzegąca niegdyś Wisły, teraz zaś chyląca się ku nieuchronnej ruinie, wraz z otaczającym ją kręgiem murszejącego częstokołu, przywozającego na myśl wyszczerbioną koronę. W ciemnym wnętrzu siedziby nieodmiennie panowała ciężka atmosfera, przepelniona wonią alkoholu i wilgotnego drewna. Niektóre pokoje zostały pozostawione własnemu losowi, zarzucone rozbitymi skorupami po miodzie lub zwęglonymi resztkami spalonych mebli. Widok niszczonego dworu, otoczenie ponurych trzęsawisk i obecność stale noszącego czerń pana na włościach – to mówiło Gotfrydowi wszystko o Jaksie, jego dzieciństwie, rodzinie oraz uczuciach żywionych przez rycerza wobec ojcowizny.

Przed zamkniętą bramą kasztelu na brązowym wierzchowcu siedział barczysty rycerz, odziany w zblakłą czerwień, którą przykrywała wysłużona opończa z herbem – lwem białej barwy wspiętym na tylne łapy. Dostrzegłszy nadciągających dylowaną drogą konnych, czekający pod wrotami człowiek uniósł dłoń i zamachał ku nim przyjaźnie.

– Oto i padlinożerne ptactwo. Zawsze się zjawia, czując zdobycz – mruknął pod nosem Jaksza, ale natychmiast zawołał do przyjaciela głośniejszym głosem: – Lambert! Jakże złe decyzje przywiodły cię w moje progi?

– Twoje zaproszenie – odparł mężczyzna o imponujących wusach i gęstej jasnej brodzie. – Ale byłeś wtedy pijany, więc za złe nie mam, żeś tego niepomyślnie. Bracie Gotfrydzie. – Lambert skłonił głowę przed dominikaninem. – Dziwi mnie, Jaksza, że twoje pacholki wejść mi bronią, a przecie jestem tu nie pierwszy raz.

– Kazałem im – odparł tamten. – Ciało wyłowilem z Wisły i zostawiłem w stodole. Nie chciałem, żeby kto oglądał, bo ciekawy jegomość mi się zaplątał w pułapki.

– Teraz rozumiem, jak udało się brata Gotfryda z klasztoru wyciągnąć – zaśmiał się Lambert, gładząc przy tym brodę. – Dwie tajemnice rozwiane, ale cóż to za ciało, skoro już mowa o tym?

– Zaraz obaczymy. Rozewrzeć wrota, a żywo, bo różgą wysmagam!

Drewniane skrzydła bramy rozstąpiły się z jękiem, wpuszczając konnych na zaniedbany podwórzec, wyłożony spękanymi kamieniami, poprzątkany kępami mleczy. Gotfryd powiódł wzrokiem po ciemnej sylwecie kasztelu; dostrzegł, iż dach zapadnięty jest głębiej niż zeszłego roku, a okiennice na najwyższym piętrze zwisają bezwładnie na rdzewiejących zawiasach. Czarne ptaszysko siedzące na kalenicy dopełniało obrazu nędzy rycerskiej siedziby. Jaksza jednak zdawał się nie dostrzegać ru-

iny swego domostwa – zeskoczywszy z konia, żwawym krokiem świadczącym o ekscytacji zaprowadził gości w kierunku stodoły. Dla przyjezdnych widok gospodarza, jego rozpadającego się dworu oraz ślepo oddanej służby stanowił widok niepokojący, tym bardziej iż jeden tylko przedmiot w tym miejscu zdawał się być nowy i zadbany: wiszący na uschłym dębim sznur zakończony katowskim węzłem.

Wyłowione przez Jaksę ciało spoczywało pod całunem na wyjętych z zawiasów drzwiach stodoły. Zza krawędzi lnianej płachty przykrywającej zwłoki wystawały mokre podeszwy wysokich butów. Zgodnie ze słowami rycerza nie były one zniszczone przez wilgoć, wręcz przeciwnie – wyglądały jakby niedawno wyszły spod ręki szewca. Gotfryd klęknął, by z bliska obejrzeć obuwie; ocenił kolor zaimpregnowanej woskiem dratwy, łączącej cholewę z podeszwą.

– Biel, czerwień oraz żółć – powiedział.

– Można popytać na mieście, czy który poznaje robotę – podsunął Lambert. – Dla byle kogo użyliby zwykłej, smołowanej nici.

– Po cóż się fatygować? – Jaksza stuknął palcem o podeszwę buta. – Tutaj jest znak rzemieślnika. Należy do Łukasza Niemca. Miejscowy, pracuje na Szewskiej.

– Odsłoń resztę – polecił inkwizytor.

Jaksza, niemal teatralnym gestem, posłusznie ściągnął lniany całun. Lambert uczynił znak krzyża, choć raczej z przyzwyczajenia, bo widok martwego niewiele

się różnił od obrazu, który rycerz zwykł oglądać na bitewnych pobjowiskach.

Nieboszczyk odziany był dość solidnie jak na maj. Jego ramiona i tors okrywał kaftan błękitnej barwy, o ubrudzonych mułem rękawach, spod którego wyzierał skraj zakrwawionej koszuli. Twarz mężczyzny została tak dalece zmiażdżona, iż przypominała groteskowo wykrzywione oblicza wykutych w kamieniu czartów, wykrzywających pyski ku wiernym w kościelnych wnętrzach. Zapadnięte oblicze było częściowo przykryte jasnymi włosami, przylepionymi do krwawej maski porozrywanych mięśni i rozciętej skóry. Gotfryd odjął wzrok z opuchniętej twarzy martwego i spojrział na jego lewą dłoń, pozbawioną wszystkich palców za wyjątkiem kciuka. Paliczki odrąbano jednym ciosem ciężkiego ostrza – tasaka lub miecza – a kłykcie były zaczerwienione i obdarte z naskórka. Dominikanin popatrzył na prawicę zamordowanego, po czym zwrócił się do Jaksy:

– Nie miał żadnych pierścieni? Widać ślady po sygnecie i obrączce, ale ten drugi nieco zatarty. – Błękitne oczy inkwizytora wróciły na resztki serdecznego palca lewej dłoni, gdzie widać było nieco jaśniejszy pasek skóry. – Wdowiec, jak się zdaje.

– Nie miał ich, kiedym go znalazł – odparł Jaksza ze wzruszeniem ramion. – Pieniędzy mi zresztą nie trzeba. Może woda zabrała?

– Nie ma twarzy, palców, pierścieni – mruknął Lambert – nic, po czym go poznać by można.

– Tak właśnie miało być – odparł Gotfryd, wstając. – Za kilka dni zgnilizna i ryby zatarłyby trop do reszty. Jaksa, mówiłeś, że go uduszono?

– Stąd czerwień na szyi. – Czarnowłosy rycerz końcem buta wskazał na zmiążdżone gardło denata.

– Ściągnij mu kaftan – nakazał Gotfryd.

Jaksa bez dalszych pytań rozpiął lakierowane guziki z drewna, odsłaniając pociętą koszulę, przyklepioną do kilku głębokich ran na brzuchu, pozostawionych przez wąskie ostrze sztyletu.

– Trzymano go za gardło, aby zadać mu śmiertelny cios. – Ktoś inny pokusiłby się o ton triumfu lub zadowolenia, ale grobowy głos dominikanina pozostawał niewzruszony. – Ma na szyi jakiś rzemień.

– Trzos, ale bez monet. – Lambert dobył spod koszuli zabitego sakiewkę z jeleniej skóry. – Za to z szachową figurą. Białą pion.

– Nieistotna pamiątka, a może kluczowy ślad? – zadrwił Jaksa. – Czy przenikliwy inkwizytor dojdzie prawdy?

– *Deo juvante*². – Gotfryd uniósł na rycerza posępny wzrok, lecz nie okazał gniewu. Zbyt dobrze go znał, aby dać mu tę satysfakcję.

– Mam kilku znajomych, którzy grywają w szachy. Mogę ich o bierkę rozpytać. – Lambert obracał w palcach figurę. – Zwykle rzeźbiarze robią komplety, ale szansa nikła, że ktoś rozpozna rzemieślnika, nawet jakby był znad Wisły. Mało to pionków na świecie?

² Bóg pomaga.

– Uczyń tak. – Inkwizytor oglądał ciało, chcąc wyrwać w swojej pamięci wszystkie szczegóły, które mogłyby mu pomóc w rozwianiu tajemnicy jego śmierci. – Ale zachowaj powściągliwość. Nie chcemy zbyt szybko ostrzec sprawców tego czynu o ich porażce. Jeżeli cokolwiek ustalimy, zawiadomimy sędziego grodzkiego.

– Co zrobimy ze śpiochem? – spytał Jaksza, sprawdzając jeszcze, czy w rękawach kaftana lub u pasa nie zapodział się jakiś drobiazg. – Kawalki gliny z glazurą. Kufel pewno. Może popili, ktoś się pochwalił wizytą u cudzej żony i się zaczęło?

– Poślij go na pochowanie, tylko cichcem – podsunął Lambert. – Potem zbierzemy się do grodu i popytamy.


– Walek! – krzyknął Jaksza ostrym głosem, przywołując chłopca o pospolitej twarzy i ziemistej cerze. Służba w stancji zawsze zachowywała milczenie w pobliżu swego seniora, ślepo wykonując powierzone im polecenia. – Umyj go, daj jakiegoś całunu i odstaw do kościoła na pochówek. Jakby ksiądz pytał, powiedz mu prawdę – to topielec, a ty wiesz tylko tyle, że trzeba mu spoczynku na cmentarzu. Po drodze kup jakiego wina. Srebro weź ze szkatuły.

Walek z ukłonem przyjął rozkaz, po czym ruszył oporządzić osiołka i zaprząć go do wózka.

– *Requiem aeternam dona ei, Domine, et lux perpetua luceat ei. Requiescant in pace*³ – wyrecytował inkwizytor ponuрым tonem, przywodzącym na myśl zgrzyt grobowej płyty.

– *Amen.*

³ Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci.



Trójka konnych jechała zakurzoną polną drogą prowadzącą wzdłuż Wisły, pomiędzy ścianą nadbrzeżnych zarośli a uprawnymi polami, należącymi do podległych Jaksie gospodarstw. Powietrze było duszne i nieruchome, a chmary owadów z uporczywym bzyczeniem oblegały spocone konie, wlekące się w upale ze spuszczoneymi łbami. Niewiele czasu upłynęło od zenitu, toteż chłopci nie ruszyli jeszcze w pola i sady, lękając się uroków rzuconych przez południce. Przeto wkoło panował spokój, mącony czasem przez krzyki wodnego ptactwa lub odległy plusk wody.

– Bracie Gotfrydzie – zaczął Lambert, zwracając się do jadącego pośrodku zakonnika, któremu rycerze zawsze towarzyszyli u boków, akceptując bez sprzeciwu jego przewodnictwo – gdzieście wędrowali od naszego ostatniego spotkania?

– Po Italii, w służbie Bogu – odrzekł cierpko dominikanin. – Tropiąc niegodziwców w imię zysku nazywających bliźnich czarnoksiężnikami.

– Jak to się skończyło?

– Trzech niewinnych spłonęło w czasie samosądu urządzonego przez chłopów, a baron w ramach odwetu spacyfikował wieś, bo ludzie owi byli mu bliscy i z jednej krwi pochodzili. Mnie też nie byli oni obojętni – wyznał gorzko inkwizytor. – Tak się zaczęło żniwo grzesznych dusz. Później ogień i krew obmyły skały Kalabrii.

– Szlag, nielicho. – Jaksą pokręcił głową. – Skończyło się to...

– Dobrze? Nie. – Posępne lico zakonnika wykrzywiło się nieznacznie. – W piekle czekają na wielu ludzi od tamtych dni.

Przykre milczenie zapadło pomiędzy podróżnymi, kiedy mijali zarastającą drogę prowadzącą do ruin młyna nad rzeką. Lambert spojrział ku niszczącemu budynkowi i oberwanym łopatkom koła, sterzącym między kępami tataraku niczym murszejące zęby.

– Stary młyn, stare czasy, stare czyny – westchnął brodaty rycerz. – One zawsze wydają się lepsze z jakiegoś powodu. Tym jaśniejsze, im przyszłość ciemniejsza szaty wdziewa.

– Wcześniej nie było sposobności zapytać. Jak wam się powodzi? – odezwał się Gotfryd.

– Bieda, bieda, bo i czas nic dobrego nie niesie – odparł Lambert, poprawiając się w siodle. – Konrad z Mazowsza bruździł nam przez ostatnie lata, a teraz z Czechami i księciem opolskim...

– Nie o politykę pytam. – Inkwizytor pokręcił głową. – O was.

Jaksą wymienił z Lambertem krótkie spojrzenie, po czym odparł:

– Mnie przybyło blizn na plecach, a Lambertowi trosk na gębie. Wojowało się trochę tu i tam, z poganami nawet się rzezało, ale nigdy nie było tak jak wtedy, gdy jechaliśmy z wami na Czechy. Lambert raz był blisko ożenku, jednak panna zmarła na suchoty i...

– I od tego czasu jakoś mi się z białogłowymi nie układało – dokończył Lambert niechętnie. – Jaksą jak zawsze opowiada po swojemu, żeby nie wspomnieć o tym, jako mu na turnieju połamali żebra, ale... – Pasowany na moment zawiesił głos. – Ale to wszystko igraszki. Prawda jest taka, że tkwimy w miejscu, bo trudno o jakąkolwiek lepszą partię, gdy nasze ziemie to bławatne okrawki. Kiedy zembrzemy, ksiączę Bolesław nawet nie zauważy, jak mu domeny przybędzie. Brak nam takich przygód, jak u boku brata inkwizytora. Czekaliśmy, co nastąpi szybciej: krucjata albo wasz powrót.

– Jak się okazało słusznie, bo znów jest okazja do wspólnej jazdy – dodał Jaksą z zadowoleniem.

– Ten sznur na wyspie, dla kogo on? – spytał inkwizytor, wspominając zawieszony we dworze powróż.

– Na mojego wyklętego siostrzeńca – odparł ciemnowłosy mężczyzna lekko i wesoło. – Nie troskajcie się, to nie ja chcę się powiesić.

U Bramy Grodzkiej Lambert pożegnał się z Gotfrydem i ruszył w kierunku przeprawy na Wiśle, by następnie udać się w drogę do Myślenic. Dominikanin natomiast – w towarzystwie Jaksy – wkroczył do miasta, zmierzając ku ulicy Szewskiej.

Już o poranku siła ludzi kręciła się w kręgu grodzkich murów, lecz teraz prawdziwe tłumy przybyły do

Krakowa, zwabione wizją towarów z odległych stron, przybywających tu Praskim Traktem z Czech oraz cesarstwa. Piekarze, balwierze, tkacze, rzeźnicy – słowem: rzemieślnicy wszelkiego kunsztu – wszyscy mieli ręce pełne roboty w czasie targu, lecz była to krzątanka o tyle radosna, iż trud ten szczerze opłacano srebrem przez przyjezdnych kupców. Pomimo pogodnej atmosfery dominikanin torował sobie drogę przez ciżbę z twarzą zastygłą w wyrazie niechęci, która rzadko opuszczała jego lico. Gotfryd wiedział, jak krucha jest skorupa radości i uczciwości okrywająca ludzką dwulicowość i nie ulegał wesołej iluzji festiwalu. Grzeszne serca były w piersiach tak wielu osób, które z pozoru zdawały się być przykładnymi, wierzącymi ludźmi. Ile zbrodni i występku skrywały siedziby krakowskich mieszczan, tego zakonnik mógł się jedynie domyślać, wszakże twarz mordercy rzadko się różni od otaczającego ją tłumu.

– Patrz, jak leziesz – warknął Jaksza, odpychając na bok przechodnia, który wpadł na niego, zagapiwszy się na występy kuglarzy. – Trąd i zarazy na takich jak on.

Rynek Główny wypełniał gwar setek podniesionych głosów oraz nieprzeliczony tłum otaczający rzędy kupieckich kramów. Ludzie tłoczyli się pod stoiskami handlarzy sukiennych, pchali się pod wzornik w budynku Wagi Miejskiej, półkolem otaczali trupy aktorów lub dających pokaz fechtistrzów. Przykuty do pręgierza człowiek w osłej masce cierpiał od upału, drwin sąsiadów oraz z rąk dzieci, dźgających go patykami między zębra. Gotfryd nawet nie

chciał próbować zagłębić się w falujący, rozwrzeszczany tłum, toteż szedł skrajem rynku, pod fasadami mieszczańskich kamienic, gdzie tłok był nieco mniejszy.

– Od upału w gębie suszy. Poczekajcie, inkwizytorze. – Jaksza zatrzymał się obok ogromnych beczek, w cień kamienicy należącej do cechu piwowarskiego. – Dajcie kufelek zeszłorocznego.

– Proszę bardzo, już patronowi lejemy. – Pomarszczony staruszek zdjął wieko beczki, odsłaniając mniejszą faskę, otuloną pasami materiału namoczonymi w zimnej wodzie. Stojący obok czeladnik napełnił glazurowany kubek piwem i podał go Jaksie. Spragniony rycerz wychylił naczynie jednym haustem, uregulował należność, po czym zwrócił się do inkwizytora:

– Dobrze, możemy iść. – Oddaliwszy się nieco, dodał z zadowoleniem: – Okruch z podobnego kubka był w koszuli naszego gagatka. Popularny kolor, szykowny i wypalany z miejscowego surowca. Człek zginął niedaleko.

Na ulicy Szewskiej, zgodnie z jej nazwą, mieściły się liczne zakłady obuwnicze, a sama ulica prowadziła do bramy, za którą mieściły się garbarnie, przez co powietrze w tej części miasta miało charakterystyczny zapach wyprawianej skóry, wapna i cierpkiej taniny. Chociaż na rynku trwał jarmark, praca w warsztatach nie ustawała, a dźwięki młotków oraz narzędzi płynęły zza ścian oraz bram zakładów szewskich.

– To ten – powiedział Jaksza, zatrzymując się pod szyldem z wymalowaną cizmą, otoczoną pasmami ma-

teriału trzech kolorów. – Biały, czerwony i żółty. Barwy Łukasza Niemca. Zawsze ich używa, choć nie wiem czemu. Znam go nieco, mam mówić?

– Nie zdradź zbyt wiele i nie kłam – odrzekł inkwizytor, skinąwszy głową.

– Trudne warunki, ale podejmę wyzwanie. – Rycerz uderzył pięścią w drzwi warsztatu. – Głusi czy co?

Klamka szczęknęła i w progu stanął łysy przysadzisty mężczyzna, lat około sześćdziesięciu, naznaczony głębokimi zmarszczkami na krągłej twarzy. W grubych, ubrudzonych atramentem palcach ścisnął pióro. Nie wyglądał na zbyt radego z faktu, iż ktoś przeszkadza mu w pracy. Jednakże, jak każdy kupiec, Łukasz Niemiec szybko przybrał na twarz wygląd stosowny do przyjmowania potencjalnych klientów.

– Witam panów serdecznie. Czym mogę służyć? – Brązowe oczy szewca natychmiast strzeliły ku butom stojących przed nim gości. – Widzę, że jaśnie pan wie, jak dbać o swoje obuwie.

– Powiedzcie, czy ostatnio nie wykonaliście pary dobrych butów z cholewkami dla jakiegoś możnego pana? – zapytał Jaks. – Na włościach znalazłem całkiem świeżą parę, wyrzuconą przez wodę. Znak cechowy znam, więc postanowiłem zapytać, do kogo mogły należeć, żebym mógł oddać zgubę. Sam też chyba takie zamówię, tylko czarne, jeśli stosowną skórę i barwniki na stanie macie.

– Ludzie dziś zupełnie o buty nie dbają! Wyrzucone przez wodę? Zgubione? Moje cudenka? Przeklinam! –

wykrzyknął Łukasz Niemiec w gniewie, unosząc zaciśniętą pięść ku majowemu niebu. Chwila minęła i mieszczanin powściągnął wzburzone emocje, po czym dodał: – Imienia tego człowieka nie znam, bo był to przyjezdny, z Czech, jak się zdaje. Jednakże przyprowadził go tu pan z Wróżdy, Zbylut Probus, więc jak chcecie oddać zgubę, to do niego się udajcie w odwiedziny.

Odebrawszy konie z miejskich stajni, Gotfryd i Jaksza ruszyli w kierunku Wielkich Bronowic – dóbr klasztornych należących do opactwa tynieckiego, a położonych na północnym brzegu Wisły, około mili od bram krakowskich. Opodal wsi, na szczycie kamienistego wzgórza, wznosił się niewielki dworek, stanowiący letnią rezydencję rodziny Turów, dumnie noszących na białych tarczach rogaty łeb byka. Bogaty był to ród, zasłużony w wielu bitwach i wiernie stojący za władcami Małopolski od wielu pokoleń, dzięki czemu w jego posiadanie trafiało coraz więcej ziem i zaszczytów, stanowiących fundament ich magnackiej potęgi.

Droga na Wróżdę wiodła pomiędzy szpalerami kilkudziesięcioletnich dębów, zasadzonych wzdłuż traktu po tatarskim najeździe, który pozostawił ziemie krakowskie spustoszone i okryte popiołami. Dzisiaj bliźny straszliwej napaści ze wschodu goiły się szybko, a drzewa dawały nieco cienia przed wędrującym na zachód słońcem. Mimo tego Jaksza co rusz spoglądał na gorejącą tarczę ponad głową i wiercił się w siodle.

– Cóż to się wyklulo w twoim siedzisku? – zapytał w końcu inkwizytor swoim ponurym głosem.

– Zbylut Tur to możny rycerz, pochodzący z rodziny o wielkich tradycjach – odparł Jaksę, przyglądając dłonią wilgotne od potu włosy. – Jeżeli nasz nieboszczyk był dobrym kumem Probusa, to wątpię, aby zginął w przypadkowej burdzie w jakimś zajeździe. Wśród potężnych ludzi zbiegi okoliczności to rzadka, o ile nie całkiem wymarła sprawa.

– Prawda – przyznał Gotfryd. – Dlatego musimy zachować czujność.

– Nie wiem, czy ma to jakiegokolwiek znaczenie, ale wszystkich, którzy wchodzili w drogę rodowi Turów, spotkał marny koniec – mówił dalej rycerz. – Chodzą słuchy, że to właśnie z powodu tej góry, Wróżdy. Tutaj oznacza to krwawą zemstę na...

– Wiem – przerwał mu dominikanin.

– Wieść niesie, że Turowie zbudowali ten dwór na pogańskiej świątyni, dlatego oddali klasztorowi wszystkie swoje tutejsze ziemie oprócz góry. Ponoć dlatego ich wrogów dosięga szybki koniec.

– Sugerujesz herezję? – Błękitne oczy Gotfryda skierowały się na Jaksę. – Ważkie oskarżenie, jeśli prawdziwe, jeszcze straszniejsze, gdy fałszywe.

– Nie. – Zbrojny potrząsnął głową, strącając kropelkę potu z czubka nosa. – Mówię tylko, że Turów nie warto mieć za wrogów.

– A czy są ludzie, których warto?

– Na przykład taki Lambert – zaśmiał się Jaks. –
Wtedy można spać spokojnie.



Zbylut Probus herbu Tur przyjął Gotfryda i Jaksę wśród jabłoniowego sadu, otaczającego jego posiadłość na podobieństwo spirali, zstępującej wężowymi splotami ze szczytu aż do podnóża góry. Arystokrata spoczywał na misternie rzeźbionym siedzisku, wydobytym wprost z pnia drzewa, które wciąż zdawało się żyć i wypuszczać zielone listki z gałązek na szczycie oparcia. Sam Zbylut był wysokim mężczyzną, obdarzonym posągowym obliczem, godnym monarchy. Ciemne, głęboko osadzone oczy morskiego koloru spoglądały na gości z mieszaniną dumy i wyższości, a na wąskich wargach błąkał się cień uśmiechu, charakterystycznego dla człowieka, który z wprawą kontroluje otaczające go wydarzenia. Całości dopełniały wystające kości policzkowe, kwadratowa zuchwa oraz opaska przecinająca srebrną wstęgą brązowe włosy magnata. Ze złotym kielichem w dłoni, Zbylut prezentował sobą niewymuszony majestat i prestiż, które podkreślał wysmakowanym odzieniem, zwłaszcza zdobionym pasem rycerskim z wytłaczanej skóry. Na tle drzew, z mieczem opartym o bok siedziska, mógł uchodzić przynajmniej za księcia krwi.

– Witam serdecznie tak znakomitego i światowego gościa, członka *Ordo Praedicatorum*⁴ – Zbylut miękko zwró-

⁴ Zakon Kaznodziejski, jedna z nazw Dominikanów.

cił się do Gotfryda, po czym przeniósł wzrok na rycerza w czerni. Usta Probusa wygięły się w szyderczym uśmiechu. – Oraz jego nie mniej wspaniałego towarzysza, Jakse Czarnego od Gryfitów. Czym mogę ugościć? Dzień mamy jeszcze młody i godzin wiele na wspólne rozmowy.

– Dziękujemy za poświęcony nam czas – odrzekł dominikanin, kłaniając się płytko, zanim w gorącej wodzie kąpany Jaksza zdołał cokolwiek powiedzieć. – Żal przynosić złe wieści w tak piękny dzień.

– Złe wieści? Zostawcie nas samych. – Zbylut gestem upierścienionej dłoni odprawił giermków i służbę, stojącą w stosownej odległości z poczęstunkiem gotowym do podania. – Jak brzmi to hiobowe posłanie?

– Czy jesteście przyjaciółmi człeka, którego zaprowadziliście do Łukasza Niemca, szewca krakowskiego? – odparł pytaniem inkwizytor, nie odrywając wzroku od oblicza Probusa.

– Prawda to. Człek ten jest w istocie mi kompanem oraz gościem w mych wielickich włościach – przytaknął Tur, pociągając łyk wina z kielicha. – Czyżby wszedł w szkodę na Jaksowe ziemie?

– Nic. Został przezeń wyłowiony z Wisły dziś rano. Martwy.

Dłoń Zbyluta zacisnęła się mocniej na kielichu, a między jego ściągniętymi brwiami pojawił się głęboki mars.

– Jesteście tego pewni? – zapytał Tur opanowanym głosem, w którym próżno szukać drżenia. – Brzety-

sław pochodzi z Czech, a lewą dłoń miał okaleczoną, od kiedy mieczem odrąbano mu paliczki środkowego i serdecznego palca. Po tym niechybnie można go poznać.

– Pewności nie mamy, bowiem mordercy odjęli mu wszystkie palce u lewej dłoni. – Inkwizytor powoli wymawiał kolejne słowa. – Zapewne po to, aby trudniej było ustalić tożsamość zabitego.

– Brzetysław owdowiał przed pół roku, więc obrączkę nosi na lewej dłoni – dodał Zbylut, obracając kielich w palcach. – Mówi wam to coś więcej, bracie dominikanie?

– Kosztowności zostały zdarte z martwego, lecz ślad obrączki na dłoni ostał się mimo czasu – odrzekł Gotfryd. – W istocie osoba ta nosiła pierścień na lewej dłoni jak wdowiec. Czy obrączkę? Tego nie wiem.

– A włosy? – rzucił Tur, lecz w jego oczach widać było, iż zna już odpowiedź na to pytanie.

– Jasne.

– W istocie. Zła to wieść. – Arystokrata milczał przez kilka chwil, stukając palcami lewej dłoni w podłokietnik, uformowany na kształt byczej głowy. Wreszcie uniósł wzrok na inkwizytora i przemówił: – Sprawa to poufna, bowiem Brzetysław ważne dokumenty oraz symbola nosił przy sobie. W sakwie na szyi zawieszony. Znaleźliście panowie coś takiego? Nawet coś z pozoru codziennego dla odpowiednich osób mogło nieść ważne przesłanie.

– Żadnego listu, kwitu czy noty – odrzekł Gotfryd, nie odrywając oczu od Zbylutowego lica. – Najwyraźniej rabusie zabrali wszystko, co wydawało się im cenne.

– W istocie. Zła to wieść – powtórzył z westchnieniem Tur, jednak wyraz jego twarzy nieco złagodniał. – Obawiam się, panowie, że w istocie Brzetysław rozstał się z naszym światem. Boże, świeć nad jego duszą. Dziękuję za wizytę, ale te wieści zmuszają mnie do spełnienia pewnych obowiązków, które nie cierpią zwłoki, a droga przede mną długa.

Arystokrata wstał z siedziska, po czym zawołał ku siedzącym w cieniu giermkom:

– Przyprowadzić konie gości i siodłać mi Pegaza! Przed zmrokiem chcę być w Wieliczce!

– Z Bogiem – powiedział na odchodnym inkwizytor, kłaniając się lekko, by zaraz ruszyć długim krokiem w kierunku stajen.

Milczący dotąd Jaksza również skłonił się przed Zbylutem i podążył śladem Gotfryda. Dopiero gdy służba przyprowadziła ich wierzchowce, a oni sami odjechali na strzał z łuku od stoków Wróżdy, Jaksza odezwał się zadziornie:

– Pięknie brat inkwizytor ominął prawdę przed tym nadętym pyszałkiem. Czy mogę wiedzieć, co teraz? Oprócz tego, że panu Turowi należy się lekcja pokory.

– Nie pytał o to, gdzie leży ciało – odparł Gotfryd. – To wiele mówi.

– Czy może mieć to związek z figurą szachową? – spytał czarnowłosy rycerz.

– Być może to symbol, po którym wtajemniczone osoby rozpoznają posłańca, ale... – zakonnik zawiesił głos. – Nie snujmy domysłów ponad miarę. Gdyby ktoś go zabił z tego powodu, nie pozostawiłby zdobyczy przy ciele.

– Czyli ktoś zatłukł Brzetysława dla pospolitego rabunku?

– Dowiemy się tego, jadąc za Turem – odparł Gotfryd, spoglądając ponad ramieniem na drogę prowadzącą ku Wróździe. – Ukryjemy konie w zaroślach, pozwolimy mu przejechać i ruszymy jego śladem.

– Ja lubię się pchać tam, gdzie mnie nie chcą. Ale brat inkwizytor? – prychnął Jaksza z rozbawieniem.

– Nie ufam Turowi – stwierdził zakonnik z naciśkiem. – Nie pytał o sprawców, nie snuł domysłów, a miast przed oblicze księcia, gotuje się ruszyć do Wieliczki.

– Możni ludzie mają swoje sekrety, jak każdy. – Jaksza wzruszył ramionami. – Kochanki, kochankowie, bękarty, orgie, zdeformowani kuzyni ukryci w piwnicach. Raz to nawet słyszałem o tym, że jaki rycerz miał całą kolekcję papieskich posłów w wieży zawartą.

– Wszyscy ludzie mają sekrety. Chłopi w stodołach kryją zbrodnie równe czynom królów – poprawił go inkwizytor gorzkim tonem, krzywiąc się do własnych wspomnień. – Nie śmierć Brzetysława, lecz troska o sekrety, jakie mogły ujrzeć światło dzienne – to poruszyło Tura. Teraz pan z Wróźdy wydaje pełne gniewu rozkazy, bo męczy go niepewność o to, ile mordercy dowiedzieli

się, torturując Czecha, zanim cisnęli jego martwe ciało do Wisły. Najwyraźniej, podobnie jak my, woli też zachować wieści o zajściu w możliwie wąskim gronie.

– Cóż za elaborat – zauważył szyderczo Jaks. – Zwykle brat inkwizytor szczędzi słów.

– Słowa są cenne. Dysponuj nimi mądrze.

– Zjedźmy tu z drogi. – Rycerz wskazał palcem na zalesiony pagórek wznoszący się nieopodal szlaku prowadzącego na Kraków. – Z tego miejsca łatwo ogarniemy wzrokiem trakt, nie będąc dostrzeżonymi przez jaśnie pana Zbyluta.

Gotfryd skinął głową, po czym zszedł z końskiego grzbietu i poprowadził swego rumaka za uzdę poprzez trawy i gęsto rosnące chwasty w kierunku kopca. Zagłębiając się w płataninę gałęzi bzu, dzikiej róży i jarzębiny, duchowny dostrzegł pośród zieleni szerniałe od ognia fundamenty zniszczonego budynku. Pod podezwami butów chrzęściły mu zwęglone resztki drewna, a korzenie roślin wypychały spod ściółki ludzkie kości. Inkwizytor przywiązał wodze do brzoźowego pnia, po czym usiadł na zakopanym w ziemi wapiennym bloku, przyglądając się poźółklej czaszce o oczodołach wypełnionych ziemią. Kość była przebita tuż ponad nosem, a obok niej spoczywał grot mongolskiej strzały, okryty czerwienią trawiącej go rdzy.

– Teraz to miejsce zwą Trupielcem – powiedział Jaks, opędzając się od komarów. – Mówią, że ukazują się tu duchy. Chodzą i płaczą, tuląc do piersi szczątki zabitych.

– A dawniej jak nazywano to wzgórze? – Gotfryd przesunął czubkiem buta po ziemi, odsłaniając zrudziałą skorupę kolczugi.

– A czy to ma jakiekolwiek znaczenie? – mruknął Jaksza rozdrażnionym głosem, siadając obok dominikana. – Co tu było, spłonęło. Zostały tylko szkielety, ruina i mongolskie strzały. Ale dość tego ponurego gderania. Przy siodle mam bukłaczek wina. Komary może nas nie wyssa do sucha, nim pan Probus się ku nam pofatyguje.

Pomimo makabrycznego towarzystwa ludzkich szczątków zmarli nie napastowali żywych, pozostawiając latającemu robactwu nękanie inkwizytora oraz Jaksy. Na domiar złego powietrze było duszne i żaden podmuch wiatru nie przynosił ukojenia mężczyznom trwającym w oczekiwaniu. Nie minęła jednak godzina, a na trakcie pojawiły się wydłużone cienie koni należących do Zbylutowej kompanii. Jeźdźców było pięciu, a pomimo odległości dzielącej Trupielec od drogi Gotfryd bez trudu rozpoznawał wyniosłą postać magnata.

– Wreszcie – jęknął z udawaną boleścią Jaksza, otrzepując spodnie. – Żar się z nieba leje, głodnym jak wilk, kwartę juchy mi te latające paskudy upuściły. Najwyższy ku...

– Waż na język – ostrzegł go dominikanin, głaszcząc swego wierzchowca po grzywie i odwiązując wodze od pnia.

– Kurza nóżka rosółowa – dokończył rycerz – z marchewką i pasternakiem, gotowana przez noc, podana z pajdką chleba, smalczykiem oraz skwarkami.

– Mamy piątek bezmięsny – zauważył dominikanin. – Lepsze przekleństwa.

– Właśnie dlatego ludzie klną – mruknął pod nosem ciemnowłosy mężczyzna, by po chwili dodać: – Damy im jeszcze chwilę i ruszamy.

Powróciwszy na trakt, inkwizytor ruszył świeżym śladem Zbyluta, nadto się jednak nie śpiesząc, gdyż nie sposób było tych tropów przegapić, a droga do Wieliczki była Jaksie dobrze znana. Chociaż płonąca tarcza już osuwała się po zachodnich stokach nieba, popołudnie wciąż było gorące, a opuszczenie młodniaka uwolniło towarzyszy jedynie od obecności komarów, gdyż muchy – będąc postury znaczniejszej – wciąż kręciły się, bzyzcząc, wokół pary konnych. W milczeniu ujechali oni może pół mili i byli już opodal Bronowic, gdy od strony samotnego gospodarstwa, biegnąc co tchu przez pola, na drogę wypadła zdyszana kobieta.

– Pany, pany, pany! – zawołała, na chwiejnych nogach zbliżając się do karego wierzchowca Jaksy. – Ratunku! Ratujcie!

Pomimo aury oraz wysiłku, czerwienią rozlewającego się po pulchnej twarzy, w oczach wieśniaczki płonął strach. Niewiasta padła na kolana przed rycerskim koniem, brudząc kurzem błękitną spódnicę.

– Pany, ratujcie! Zabije go! Błagam! Po pomoc biegnę!

– Mówże jaśniej. – W mniemaniu Gotfryda jego ton uchodził za łagodny. – Kto kogo zabija? Pomożemy.

– W obejściu! Mirko z synami się na męża zasadził, ale Janko się w stodole zawarł, a ja umkłam pomocy szukać! – wyrzuciła z siebie kobieta jednym tchem. – Mirkowi piorun spalił sad i myśli, że to Janko urok rzucił i kłobuka wyhodował, coby od nich kradł dobytek!

– Cni mi się, żeby komuś głębę obić po dzisiejszym dniu. – Jaksza uśmiechnął się chłodno do inkwizytora, po czym zwrócił do kobiety, palcem wskazując na samotnie stojące obejście, kilkakaset kroków od drogi: – Tamto gospodarstwo?

– Tak, panie.

– Jest szansa na dobry uczynek, bracie Gotfrydzie! – Mężczyzna napiął wodze, skierował konia ku pokraśniałym od słońca strzechom i ruszył galopem przez pola.

– Sprowadź soltysa – polecił wieśniaczce dominikanin, zanim pchnął rumaka do biegu, podążając pozostawionym we wzrastającym zbożu śladem Jaksowego wierzchowca.

Z łomotem kopyt uderzających o klepisko, odziany w czerń rycerz zajechał pod stodołę, gdzie trzech krzepkich chłopów tłukło siekierami o wrota. Na dźwięk nadciągającego konia wieśniacy przestali łupać drzwi, odwracając się ku przybyszowi.

– Pomocy, nieznajomy! – krzyknął z wnętrza Janko. – Pomocy, bo ubijają!

– Cicho, czarnomagiku – warknął najstarszy spośród stojących pod wrotami kmieci, barczysty czterdziestolatek o przerzedzonej czuprynie i z szaleństwem w oczach. – A ty czego tu szukasz?

– Precz mi stąd – nakazał surowo Jaksza.

– Jaki wygadany jegomość! I jaki mądry. – Chłop pogroził pasowanemu ciesielskim toporem. – W żalobę się ubrał, to i na własny pogrzeb bez wstydu się zjawi.

– Ratujcie, panie. Zapłacę – prosił zamknięty w stodole Janko.

– Zawrzyj ryj! – Jeden z synów Mirka grzotnął siekierą we wrota, aż drzazgi się posypały na klepisko.

– Tak to możesz mówić do swoich krów, i to tylko jak krasule pozwolą. – Jaksza zeskoczył z siodła i dobył miecza, którym natychmiast zatoczył młynka. Powietrze syknęło, przedarte ostrzem. – Do pana to się z szacunkiem odnoś, chamie. Przeproś a rychło, zanim ci gicze obetnę, żebyś pełzał w oborniku, gdzie twoje miejsce. Raz jeszcze po dobroci mówię: idź precz.

Inkwizytor zjawił się w obejściu w porę, by usłyszeć ostatnie słowa Jakszy i zobaczyć, jak Mirko rzucił się na rycerza z nieludzkim warczeniem oraz pianą ściekającą po brudnej twarzy i nierówno rosnącej brodzie.

– Graj muzyko, graj – stwierdził z satysfakcją Jaksza. Natychmiast uchylił się przed żeleźcem topora, który przemknął ponad ciemną grzywą włosów. Rycerz kopnął Mirka między żebra, a płazem miecza uderzył w spalony słońcem kark chłopca. – Brzuchem w proch.

– Nigdy! – Kmieć machnął siekierą na odlew, Jaksza jednak bez wysiłku uskoczył o krok w tył, by natychmiast ruszyć do kontry i odpowiedzieć cięciem z dachu. Lśniaca klinga opadła na głowę chłopca, odejmując mu niemal

całe ucho. Rana spłynęła gęstą krwią, tworząc szkarłatną strugę ściekającą po szyi i barkach mężczyzny.

– Toś oszelmowany, i to wprawnie, nieskromnie dodam – zaśmiał się Jaks, kierując zbrukany czerwienią sztych ku ciężko dyszącemu mężczyźnie. – Czy teraz posłuchasz mędrszych od siebie?

– Syny, idziem stąd! – rzucił Mirko z gniewem, ruszając chwiejnym krokiem ku furcie gospodarstwa.

Towarzyszący mu młodzieńcy udali się za ojcem, łypiąc groźnie na rycerza oraz przyglądającemu się zajściu inkwizytora.

Szczęknięły wrota stodoły, a z wnętrza wysunął się przerażony chłop, nerwowo gładząc brązowe wąsy. Biały był jak wapno, drżący na całym ciele, ale widząc swego wybawcę, padł przed nim na kolana.

– Dzięki panie, dzięki po stokroć – wyrzekł Janko z ulgą. Już chciał objąć dłońmi kolana Jaksy, ale ten odsunął się o pół kroku. – Mówcie, czego chcecie. Dam każdą rzecz. Zapiszę wam wszystko to, co mi się w obejściu urodzi przez rok!

– Mowy nie ma! – Jaks pokręcił głową, wycierając miecz o krągłe liście podbiału. – Jeszcze się dzieciak urodzi i dopiero wpadnę w biedę. W drogę nam śpieszno, a wasza żona pobiegła po sołtysa, więc tylko się upewnimy, że sąsiad nie wróci, i ruszamy.

– Bez daru nie godzi się pana puścić – nalegał Janko, wstając z klepiska. – Srebra dam, co się zebrało na siostry ślub.

– Moneta mi niepotrzebna. – Jaksza wzruszył ramionami, ale w jego oczach nagle błysnął koncept. – Powiedz no, tamten człowiek was o czary oskarżał... prawda to, że kłobuka macie pod progiem?

– A brat mnich się nie pogniewa, jak powiem? – spytał ciszej Janko, wlepiając wzrok w ziemię.

– Przykazania złamałeś? – Inkwizytor pomimo kaptura i odległości wyraźnie słyszał rozmowę.


– Nie, bracie mnichu – bąknął niepewnie kmięć, splatając palce dłoni, zapewne myśląc, iż właśnie wpadł z jednego kłopotu w drugie, jeszcze bardziej dojmujące nieszczęście.

– Mów śmiało.

– Na jesieni zeszłorocznej, przy zimowych zasiewach, zapętała się do nas zmokła kura – wyznał Janko. – Sąsiady mówiły, że to nie ich, a pamiętałem, że ojciec mój dawniej pono zakopał cosik pod progiem. Nie wiem, czy nóż, czy co innego, bo spokoju tego czegoś naruszać nie chciał, ale żem pomyślał: jak to kłobuk, to przygarnąć go trzeba, coby nie bruździł. Od tego czasu się nam powodzi.

– Zaczyna historia, a moja ciekawość zaspokojona – przyznał Jaksza, wskakując na koński grzbiet. Rycerz nadstawił uszu, łowiąc narastający odgłos kroków i ludzkich głosów. – Czas ruszać.

– Ma się obyć bez samosądów – przykazał inkwizytor surowym tonem. – A jak trzeba będzie poświadczyć słowem, pytajcie o Gotfryda w krakowskim klasztorze dominikanów.



Dalsza droga w kierunku przeprawy na Wiśle upłynęła bez opóźnień, toteż około pory sposobnej dla nie-sporów dwójka konnych zatrzymała się pod zajazdem o wielce pomocnej, choć pozbawionej polotu, nazwie Pod Rybą i Promem. W istocie choć miejsce to pełniło rolę wyszynku, przywodziło na myśl stanicę, gdyż wieżę otaczały kręgiem budynki o solidnych, kamiennych ścianach, tworzących pośrodku zamknięty dziedziniec. Do zajazdu można było się dostać jedynie przez solidne wrota, zamykane na noc przed wszelkimi przybyszami, a w murach przybytku nieustannie rezydowała drużyna książęcych zbrojnych, mających trzymać pieczę nad tu-tejszą przeprawą. Chociaż niedaleko stąd było do bram Krakowa, a opodal, na wapiennym wzgórzu, stał ceglany kościół pod wezwaniem świętego Stanisława, zajazd dobrze prosperował, zapewniając napitek oraz jadło tym, którzy oczekiwali na prom lub woleli przenocować nad Wisłą, by o poranku wkroczyć do miasta.

Gdy inkwizytor opuścił rzucany przez świątynię cień, jego oczom ukazały się umocnione mury zajazdu, lśniące w zachodzącym słońcu, i nurt Wisły, skrzący się setką refleksów. Rzeka nieustannie falowała, mieniać się w ostatnich godzinach dnia niczym ogromny wąż, kryjący swe liczne ogony w górach Śląska, paszczą zaś sięgający Bałtyku. Wspaniały widok przedstawiała sobą matka wszystkich polskich rzek, tocząc z wolna swe wody, toteż

przyjemnie było czekać podróżnym, choćby i pół dnia, na murach wyszynku, oczekując swej kolei na promie. Jeszcze kilka tygodni temu stał tu most łyżwowy, lecz po kilkudniowej ulewie woda oraz niesione z nią drzewa zerwały przeprawę, pozostawiając mieszkańców Krakowa w obliczu pokonywania biegu Wisły za pomocą łodzi.

Na nieszczęście Gotfryda prom dopiero odbił od brzegu i tego dnia mógł już nie powrócić na krakowski brzeg. Oznaczało to, iż zamiar podążania za Zbylutem zawiódł, lecz inkwizytora niezbyt zmartwił ten fakt – wiedział on bowiem, w którym miejscu podjąć trop następnego dnia. Jaksza z mniejszym spokojem przyjął taki obrót wydarzeń, na głos dając wyraz swego niezadowolenia:

– Psia mać! Ci tam czekają na prom, który nie wiadomo czy wróci, a nawet jeżeli, to nie będziemy mieli jak znaleźć miejsca. – Pasowany wskazał palcem na grupę osób siedzących opodal kamiennych słupów, do których przymocowano łańcuchy, pozwalające przeciągać barki pomiędzy brzegami.

– Jaksza! – zawołał Lambert, opierając się o koronę wapiennego muru otaczającego zajazd Pod Rybą i Promem. – Brat Gotfryd! Co was tu przywiało?

– Długo by gębę stąd drzeć! – odkrzyknął czarno-łosy rycerz, osadzając konia i kierując go ku wyszynkowi.

– To rusz tu swój żyłasty zad! – Lambert machnął dłonią. – Mam kolację, a jak będzie trzeba, przyniosą więcej, więc zapraszam ciebie oraz brata inkwizytora.

Wprowadziwszy konie do stajen, Gotfryd i Jaksa wspięli się na szczyt umocnień, gdzie na beczce spoczywał Lambert, używając obronnego parapetu jako stolika. Pozostałości po starannie obgryzionych kurzych kostkach oraz prawie pusty kufel piwa świadczyły o tym, że brodaty rycerz nie śpieszył się z posiłkiem, korzystając z milej pogody oraz urokliwego pejzażu doliny Wisły. Po tym, jak dostawił siedziska i polecił szynkarzowi przynieść kolację, dominikanin wyłożył zwiędłe wypadki, które miały miejsce od momentu jego rozstania z Lambertem pod Bramą Grodzką.

– Pięknie i poniżej czterech tuzinów słów – skwitował Jaksa. – Jestem pod wrażeniem.

– Nie wiem, co jest bardziej nienaturalne. Maniera mowy brata Gotfryda czy ty, liczący jego zgłoski – odpowiedział Lambert. – Mnie niestety tak dobrze się nie powiodło, a dowiedziałem się raczej niewiele.

– Właściwie to gdzie żeś pojechał? – zapytał Jaksa, z wyraźną lubością sięgając po kufel.

– Do książęcego kanclerza, na obiad i partyjkę szachów – odparł z prostotą rycerz, na co Jaksa nieomal udławił się piwem.

– To my o suchym pysku chodzimy, a ty...

– Przecież się dzielę, więc nie narzekaj, tylko pij, malutki, pij – uciszył go Lambert, po czym podjął wątek: – Ale zmierzając do rzeczy. Kanclerz, jako człowiek obracający się w wielkiej polityce, nie mógł sobie odmówić uraczenia mnie solidną porcją wieści ze świata, ko-

rzystając przy tym z faktu, że miałem pełne usta zrazów z sosem. Skoro nasz tajemniczy nieznajomy bratał się z Turami, a pochodził z Czech, to powtórzę wam co zapamiętałem, bo może coś z tego ma związek z jego zgonem. Nam to nie od dziś wiadome, ale dla wiadomości brata Gotfryda powiem, że Węgrzy księciu Bolesławowi już nie sprzyjają od śmierci króla Stefana na wiosnę zeszłego roku. Od tej chwili Czesi przestali być naszemu seniorowi wrogami tak zajadłymi, jak byli ongiś, a nieraz już się zdarzało, że Przemyślidzi chcieli naszego księcia na swą stronę przeciągnąć, aby Árpádką domenę oskrzydlić i z dwóch stron na Madziarów uderzyć. Oczywiście Bolesław odmawiał takiej zdradzie, by dalej z Węgrami trzymać, a nawet Władysław, książę Opola, odszedł z niczym po tym, jak chciał odwieść Bolesława od sojuszu z węgierskim monarchą. Koniec końców, śmierć Stefana zmieniła wiele w tutejszych sojuszach, ale Czesi wciąż nie są tu zbyt mile widziani w oczach niektórych. Może nawet ktoś uważał, że ze szpiegiem ma do czynienia, i dlatego go ubił?

– To był gość u Turów. Oni zaś mogą być nadętymi pawiami, ale wierność mają wypisaną na dłoni – przyznał niechętnie Jaks. – Na Czechach też nie brak rycerzy, którzy krzywo patrzą na alians z Małopolską. Może ten Brzetysław Turom na takich donosił?

– Pośród swoich książę Bolesław również ma немало wrogów, zwłaszcza po usynowieniu Leszka z Sieradza – odrzekł na to Lambert, palcem sunąc po krawę-

dzi kuffla. – Pono nasz przyszły senior trzyma możliwych krótko i dzięki temu daje skuteczny odpór Litwinom, co na jego ziemi się zapuszczają. Trzeba dodać, że obecnie nam panujący książę Bolesław, choć żyje w cielesnej cności, lubi sobie zapolewać, a wtedy nie patrzy, co mu pod kopyta wejdzie.

– Tak mówisz, jakbyś sam do jakiego spisku chciał przystąpić – stwierdził kwaśno Jakska.

– Nie snujmy domysłów ponad miarę. – Inkwizytor ostudził obydwu mężczyzn, wiedząc doskonale, iż Polacy mają gorące głowy i porywcze serca, a w politycznych sporach znajdują wielkie upodobanie. – Co jeszcze mówił kanclerz?

– Hmm... Niedługo trochę się tu zmieni. – Lambert zatoczył ramieniem krąg, spoglądając na zakręt Wisły. – Tamę książę chce nam tu zbudować i rozdzielić bieg rzeki na dwoje. Pół Wisły tuż pod zamkiem zamierza puścić, czyniąc z niej niezawodną fosę, a i podzielona rzeka mniej wylewać będzie na wiosnę.

– Wisłę zawracać! No proszę. – Jakska cmoknął z uznaniem.

– Co więcej, wtedy łatwiej będzie ponad jej korytem most postawić – dodał Lambert z wyraźnym zainteresowaniem. – Nie na łodziach, nie na grobli, ale na łukach i przyporach. Most stały, jednym słowem: aby z Wieliczki snadniej było do Krakowa jechać. Wszystko dlatego, bo zamiast solankę gotować w kadziach, w tunelach odkryto sól w twardej kryształach, więc wydobycie ruszy na większą skalę.

– Wracając do sprawy czeskiej... – Jaksą był gotów do kolejnego starcia, lecz przyjaciel przerwał mu z miejsca:

– Skoro o Czechach mowa, w Zakonie Grobu Bożego jakaś niezguła sprawiła, że akt własności jednej z wiosek prawie się spalił. Zniszczeniu uległy pieczęci księcia oraz przewodniczącego komandorii, więc musiano odtworzyć dokument. Nieradzi byli czescy braciszkwowie, bo księcia Bolesława nie lubią, ale porządek w pergaminach ma być, więc kanclerzowi i naszemu jaśnie panującemu głowę o to zawracali.

– Ciekawa nowina – stwierdził z namysłem inkwizytor. – A co z pionkiem?

– Popularna forma i niestety nie było na nim żadnego znaku – wyjaśnił Lambert. – To może być wszystko, od pamiątki po ważki symbol. Kanclerz wspominał, że okoliczni możni czasem spotkają się w mieście, by pograć, ale obcy raczej by o tym nie wiedział. To wszystko, obawiam się.

– Może Tur też gra tam w szachy i zabrał ze sobą Brzetysława? – podsunął Jaksą. – W sumie to niezbyt dziwne. Pewnie chciał się pochwalić zagranicznym gościem.

– Może – powtórzył Gotfryd. – Niedługo jednak zawrą bramy, a mnie czas wracać do klasztoru. Spotkamy się o świcie w tym miejscu. Podejmiemy trop, póki świeży.

Rozdział 2

Pośród przetaczających się powoli oparów mgły wędrowały niewyraźne postaci, a stłumione głosy, szmer wody oraz nawoływania wodnych stworzeń sprawiały, iż w oczach inkwizytora brzeg Wisły здаwał się nie należeć już do świata ludzi. Dominikanin nie zdumiałby się nadto, gdyby spomiędzy kłębów wyłonił się przygarbiony kształt utopca, a hałaśliwy rechot dochodzący z kępy tataraku należał do ćmucha, a nie do zwykłej ropuchy. W taką pogodę ludzie zbijali się w grupy, pomimo żelaznych mieczy u boku i kamiennych murów wkoło. Lęk przed grasującym we mgle nienazwanym wciąż pozostawał silny, a człowiecze umysły, skore do wszelkiego zabobonu, szybko nadawały każdemu kształtowi we mgle imię nowego demona. Nawet inkwizytor, pomimo rozważliwego i gorącego pragnienia odkrycia namacalnej przyczyny stojącej za wszelkim wydarzeniem, nie był całkiem wolny od instynktownej obawy, skrytej głęboko w jego umyśle. Niezależnie od epoki pierwotny strach wciąż podążał w ślad za mgłą, sącząc zwątpienie w serca ludzi.

Słyszając za sobą stłumione stąpanie pary koni, Gotfryd obrócił głowę.

– Wreszcie – stwierdził chrapliwie.

– No, trochę się spóźniliśmy – przyznał Lambert zaspanym głosem. – Ale ledwo świta. Czy mnisi kiedykolwiek śpią?

– Tylko w niedziele i święta – odparł Jaksza zachrypniętym głosem, rozcierając pulsujące bólem skronie.

– Jedźmy. Prom czeka tylko na was – wycedził inkwizytor, ruszając w kierunku rzeki.

Barka kiwała się sennie na fali, napinając grube liny trzymające ją przy brzegu. Ciemna toń Wisły ze szmerem opływała kadłub statku. Zgromadzone na pokładzie osoby, choć tegoroczny maj należał do wyjątkowo upalnych, kryły się przed wilgocią pod sukiennymi płaszczami lub krążyły niecierpliwie po barce, chcąc rozgrzać zziębnięte członki.

– Braciszek, widzę, znalazł swoje owieczki – rzekł szyper, dostrzegając pośród mgły wysoką postać mnicha. – No to cumy rzuć i ruszamy, bo od stania soli w beczce nie przybędzie.

Ledwo rycerze wprowadzili konie na pokład łodzi, szyper smagnął leszczynową gałązką parę wołów, która, zaprzęzona do obracającego się pośrodku barki słupa, pozwalała przeciągać kryptę pomiędzy brzegami. Ze zgrzytem łańcuchów i jękiem kół zębatych prom zaczął sunąć poprzez mlecznobiały opar. Przez pewien czas słychać było jedynie stukot wołowych kopyt i dopiero

siedzący na wiązce owczego runa mężczyzna przerwał ciszę, zwracając się do szypra:

– Panie flisak, a we Wistuli to tyż mieskoją rusolki? – Sądząc z głosu, jasnych spodni oraz filcowego kapelusza, był to góral ze skalistego Podhala.

– Mieszkają, mieszkają – potwierdził kapitan ze znanstwem. – Na zeszłe lato takiego jednego chłopaka, Pawło go wołali, to wodnica zwabiła w szuwały.

– E, to chłop cołkiem stracony! – Góral machnął szeroką dłonią. – Jak go nie łutopiła, to pewno w rozumie zamiszła.

– Zakochał się Pawło w wodnicy, to się wyniósł ze wsi i zamieszkał opodal Lasu Kłaj. – Szyper kiwnął głową. – Czasami odwiedzam go i zazdrość bierze, bo żoneczka z rusalki przednia. Tylko ich dzieci trochę mnie straszą.

– Odmieńce? – Wtrącił jasnowłosy młodzik, terminator cechu czapników, sądząc z odznaki na kapeluszu.

– Tako się zdaje. Działwa Pawła i Roksany to wyrośnięta gromadka, ale w oczach mają coś takiego dziwnego. Pawło to mądry chłop, zna się na rybach, zbożach, nawet czytać umieje, lecz Roksana to jak szlachcianka gdera. W łacinie jak Niemka czy inna Bretonka, a czasem, ale tylko jak wpada w złość, to pono po grecku krzyczy.

– A co z dziećmi? – dopytywał terminator. – Jakie one są? Opóźnione, jak to o odmieńcach gadają?

– Nie, na opak zupełnie. Mają najmłodszego synka,

co mu na chrzcie dali Justyn. – Szyper smagnął woły gałązką, ale te wiele sobie nie zrobiły z popędzania. – No, to Justyn ma trzy albo cztery latka, ale gada, jakby miał z dziesięć. Powolutku mówi, lecz umie zaskoczyć jakimś domysłem.

– To się nie dziwuje, że wos zazdrość pali – zaśmiał się góral. – Skoro baba ładna, mądra i jeszcze dziatwie umie oleju do łba naloć.

– A tam, skąd przybywacie, też się takie cuda dzieją? – młody mieszczanin zwrócił się do podhalańczyka.

– Wos to o duchach historie tak bawią?

– Bardzo interesują, proszę pana.

– No to słuchajta, bo dwakroć powtorzoć nie bede. – Góral zapatrzył się w sunące za burtą mgły, gładząc zawilgocone wąsy. – Hej! Było to dwa roki temu, tyz w maju, przy pełnym księżycu. Bacowałem na stokach Lubania razem z moimi juhasami, ale cosik mnie wyгнаło z koliby. Takie dziwne ucucie, co to spać nie daje żadną siłą, no tom ciupagę zabroł i poszedł szukoć.

– Przy pełni samemu w górach? – Oczy terminatora rozwarły się w zdumieniu.

– Ano tak. Poszedłem na Snozkę Krośnicką, siodło, co między Lubaniem a górą Wdżar spoczywa. Ło! O tej przełęcy to źle mówią i nie bez prawdy, bo straszy tam mara nieczysta, wiedźma wabiąca podróżnych. – W tym miejscu góral uczynił znak krzyża. – Lecz góra Wdżar... to miejsce jeszcze po stokroć przekłete, ale tam właśnie mnie nogi zawiodły.

– Co jest tak dziwnego na tym szczycie? – spytał szypier.

– Hej! Normalne rzeczy łatwiej by wymienić! Raz jeden bogaty kupiec z południa jechał i miał przy sobie tako igłę, co to na północ bez uchybienia wskazywała. Niewożne, jak ją położyć, w domu czy na kalenicy, to prosto cerwonym końcem mówiła kierunki świata, nawet gdy chmury zasłoniły niebo. Ale gdy wjechaliśmy w cień Wdżaru, kupca podkusiło, co aby odsłonić igłę – i ona cerwienią na południe, ku Tatrom wskazywała, jakby chcąc go ostrzec przed tą górą diabelną. Tfu! – Góral splunął za burtę, po czym podjął wątek: – Tam skały są inne niż wszędzie dokoła, jakby Wdżar z innych korzeni wyrósł, zupełnie łodmienny od pozostałych gór. Pioruny grzmocą tam gęsto, a owa mara, co wam o niej wspominałem, to tam wędruje właśnie. Z przełęczy na Wdżar. Jest jeszcze jedno, wioska tam kiedy stała, ale góra ją pochłonęła i tylko czasem kościelne dzwony słychać po zmroku.

– Przebóg, życie wam niemiłe?! Wy tam jeszcze przy pełni szliście?! – wykrzyknął jasnowłosy mieszczanin, budząc z drzemki Lamberta i Jaksę. Pasowani skrzywili się, trapieni pijacką boleścią.

– Ać tam od razu niemiłe, po prostu ciekaw byłem – odparł góral ze skromnym uśmiechem. – Idąc na Wdżar, na przełęczy łobaczyłem widmo kobiety dzierzącej w rękę pochodnię. Wiedźma tańcowała dziko, ramiona do księżycza unosząc, a potem ruszyła na Wdżar. Podążyłem za nią

i anim się obejrzoł, a byłem pośród tych upiornych skał, ciemnych, przerośniętych jakby białymi żyłami. Wtem żem usłyszoł bicie dzwonu; nad głową przetoczył się odgłos końskich kopyt, a wroz z nim śmiech. Zamarłem cołkiem, nawet palcem nie śmiać kiwnąć, bo to Dziki Gon ruszoł na łowy. Jechoł na grzbietach koni, co jak grom brzmiały. Tylkom powieki zacisnoł, bo jak kto na widma spojrzy, to one go cap za kołnierz pochwycą i uniosą ze sobą na siodłach. Dopiero jak burza nadesła, tom do koliby wrócił, do cna przemocony i tak niemocą złożony, żem tydzień w chorobie leżoł.

– Prawda to? – Szyper trącił nogą śpiącego pachółka. – Cumy gotuj, bośmy na drugim brzegu prawie.

– Przysiąc na Pismo mogę – odparł z przekonaniem góral.

Stanąwszy na południowym brzegu Wisły, Gotfryd ruszył gościńcem w kierunku Wieliczki. Towarzyszący mu rycerze spali w siodłach, zdając się całkowicie na stadny instynkt swych wierzchowców, podążających posłusznie za koniem inkwizytora. Lambert obudził się po blisko dwóch godzinach jazdy, gdy na zachmurzonym niebie widać już było skarłałe słońce, świecące tak słabo, iż bez mrużenia powiek można było spojrzeć w jego tarczę.

– Ani chybi, blisko już Wieliczki – stwierdził rycerz zmęczonym głosem.

– Nie spaliście. – Ton zakonnika w uszach wielu uchodziłby za denuncjujący.

– Spaliśmy, tylko mało i tak jakoś bez przekonania. – Lambert w zakłopotaniu podrapał się po głowie, po czym zmienił temat: – Dokąd jedziemy?

– Do wielickich posiadłości Turów – odparł inkwizytor, sunąc wzrokiem po kłębiących się oparach mgły.

– Znam drogę. – Lambert spojrział ponad ramieniem na Jaksę, pochylonego nad końską szyją. – Co za destruk. Jakby krzyknąć głośniej, toby się biedactwo rozpadło na kawałki jak zwierciadło.

– Piąte przykazanie mówi: „Nie zabijaj” – stwierdził oschle dominikanin, lecz rycerz umiał wyczuć ulotną zmianę w głosie inkwizytora; odległe echo uśmiechu.

– A jednak wciąż kusi – mruknął pod nosem Lambert, sięgając po wiszący na lęku siodła bukłak z wodą. – Oj kusi. Skoro już do Tura w odwiedzinę się wybieramy, to brat inkwizytor pewnikiem ma zamiar, jak rzucić nieco światła na ów tajemniczy zgon.

– Wy się z Jaksą rozpytać po okolicznych obejściach o Brzetysława, kto go widział, gdzie jeździł przed morderstwem. Ja się rozmówię... – Gotfryd przerwał, unosząc twarz ku szaremu nieboskłonowi i wciągając powietrze w nozdrza. – Zapach zgliszczy.

– Mgła też jakby ciemniejsza – potwierdził Lambert, natychmiast trzeźwiejąc.

Konni zatrzymali się na rozstajach traktu, przy posągu wzniesionemu ku czci świętego Krzysztofa. Wizerunek patrona podróźnych został wyrzeźbiony z dębowego pnia, zachowując legendarną posturę i wzrost mę-

czennika, dwukrotnie przewyższającego zwykłych ludzi. Na skroniach i ramionach giganta spoczywały wianki z polnych kwiatów, które zarzucali na statuę wędrowcy zabiegający o wstawiennictwo świętego.

– Do posiadłości Turów tędy musicie jechać. – Lambert wskazał dłonią na wykładaną wapieniem drogę, która odchodziła od szerokiej wstęgi gościńca, by po kilkunastu krokach zniknąć za ścianą mgły. – Ja zabiorę to skacowane chuchro do Wieliczki, wbiję mu klina, a potem popytamy o Brzetysława. Spotkajmy się na wieczerzę Pod Rybą i Promem.

– Zgoda. – Inkwizytor kiwnął głową, pchnął konia piętami i ruszył wapienną drogą, zostawiając za plecami trakt opadający łagodnie w kierunku Wieliczki.

Pokonawszy niecałą ćwierć mili, dominikanin czuł już w powietrzu swąd spalenizny, a pośród rzednących oparów dostrzegł wstęgi ciemnego dymu, spływające pośród olszyny. Jego oczom rychło ukazała się rycerska wieża – wznosząca się ponad szczytem wzgórza – oraz rozciągający się u jej fundamentów pałac, z jednym ze skrzydeł całkiem zniszczonym przez pożar. Na moment zakonnik wstrzymał swego wierzchowca, spoglądając na posiadłość przywodzącą mu na myśl ranne zwierzę, broczące posoką ciemnego dymu z rozerwanego boku. Gotfryd nie wierzył w zbiegi okoliczności – raczej w brak poznania ich przyczyn – toteż przeczuwając, iż pożar posiadłości Zbyluta oraz śmierć Brzetysława są ze sobą ściśle powiązane, ruszył ku szczytowi wzgórza.

Przy bramie posiadłości stało dwóch strażników. Owinięci płaszczami w barwach Turów, wspierali się na drzewcach włóczni. Spod pancernych otoków kapalinów spoglądały na inkwizytora zmęczone twarze, umorusane popiołem i sadzą.

– Przejścia nie ma – rzucił jeden ze zbrojnych.

– Powiedźcie panu na włościach, że przybył Gotfryd z *Ordo Praedicatorum* – odparł szorstko zakonnik. – Jestem pewien, iż hrabia zechce ze mną porozmawiać.

– Przekażę – odparł z ukłonem strażnik, po czym ruszył białą alejką w kierunku dworu.

Zanim u bramy zjawił się Zbylut Probus, Gotfryd zdążył odmówić cichym głosem dwa tuziny *Pater Noster*,⁵ lecz czasu spędzonego na modlitwie zakonnik nigdy nie żałował, żywiąc szczere przekonanie, iż jego skromne prośby do Boga przyniosą ukojenie jakiejś zagubionej duszy.

– Brat Gotfryd. Nie mogę powiedzieć, że dziwi mnie wasza obecność – powiedział na powitanie Zbylut, kiwając głową z godnością. – Już wczoraj powinienem was prosić o pomoc, lecz nie podejrzewałem tego, co tu zastanę. Leszko, zaopiekuj się koniem naszego gościa. Brata Gotfryda proszę za mną, jeżeli chętny jest wspomóc mnie swym umysłem w wyjaśnieniu tajemnicy nie jednego, ale dwóch zgonów na mym dworze.

Inkwizytor przestąpił pod rzeźbionym w drewnie łukiem bramy.

– Dziękuję serdecznie. To wiele znaczy dla mnie, aby dotrzeć do sedna tej sprawy, która kładzie się cieniem

⁵ Ojciec Nasz.

na mojej reputacji – stwierdził magnat oficjalnym tonem, a choć spoglądał na dominikanina, kierował swe słowa do strażników przy bramie. Dopiero gdy z zakonnikiem odszedł na kilka kroków od strzegących wejścia zbrojnych, odezwał się w bardziej bezpośredniej manierze: – Czy nasza rozmowa pozostanie między nami, bracie?

– Tak.

– Oczywiście może się brat podzielić informacjami ze swymi kompanami. Nie wątpię, że są w pobliżu i węszą za zdobyczą dla Psa Pańskiego – dodał Zbylut z miłym, szczerym uśmiechem.

– Tak – powtórzył Gotfryd, rozglądając się po zadbanym ogrodzie, upstrzonym bielą i błękitem kwiatów. Najwyraźniej senior wszystkich Turów wielce przepadał za roślinami, harmonijnie ułożonymi w miłe dla oka wzory.

– Morderstwo Brzetysława nie było zwykłym rabunkiem, ale tego brat pewno się domyśla, toteż zacznę od przyczyny owego ohydneho czynu. Po śmierci Stefana, króla Węgier, sojusze wokół naszego umiłowanego księcia Bolesława przestały być tak oczywiste i pojawiła się potrzeba wykucia nowych. Trzeba też dodać, iż nasz władca, choć bezdzietny, zadbał o dobór następcy, usynawiając Leszka Czarnego, księcia sieradzkiego. – Zbylut przyglądał dłońmi grzywę kasztanowych włosów, które wydostały się spod srebrnej opaski na skroniach. – Brzetysław i ja dążyliśmy do zacieśnienia więzów między naszymi władcami, gdyż nie bez przyczyny Przemysła

Otokara zwał Żelaznym Królem, a jego władza dotyka brzegów Adriatyku, natomiast ambicjami sięga on tronu cesarstwa. W istocie spodziewa się on rychłej elekcji oraz koronacji na władcę Imperium, wtedy zaś warto być w dobrych z nim układach, bo i dla polskiej krainy będzie to dobra nowina. Może nawet zwiastun zjednoczenia naszego królestwa?

Tutaj Tur westchnął, spoglądając na wypalone okna i nagie ściany pałacowego skrzydła.

– Ale dość o nadziejach na przyszłość. Brzetysława zabił ktoś, komu zależy, by Małopolska i Czechy zostały poróżnione – podjął Zbylut, przy ostatnim słowie wskazując dłonią na dymiącą ruinę. – Nie wątpię, że są to możliwe osoby, a ja z pewnością jestem im solą w oku. Schlebia mi taka atencja, lecz dwie z nich już zginęły, aby zburzyć moją przyjaźń z czeskimi nobilami oraz zbrukać reputację rodu Turów.

– Dwóch zabitych? – inkwizytor zwrócił uwagę na poprzednią wzmiankę o drugim zgonie, lecz tym pytaniem chciał odwieść rozmowę od polityki na rzecz mordów.

– Tak – potwierdził szlachcic dziwnym głosem, na wpół podekscytowanym, na wpół starającym się pokryć fascynację smutkiem. – Jednakże to brat musi sam zobaczyć, bo tu w istocie duchownego nam trzeba.

Zbylut ruszył po szarej od popiołu trawie i wszedł przez poczerniały otwór, niegdyś będący wejściem do przepastnej sali jadalnej. Pomimo chłodnego poran-

ka we wnętrzu zalegało cieplejsze powietrze, a z połamanych belek stropu wciąż unosiły się ciemne strużki dymu. Resztki stołów oraz krzeseł leżały na zwęglonej podłodze, poznaczonej bezkształtnymi plamami zastygłej cyny w miejscach, gdzie upadły świeczniki oraz kandelabry. Krocząc pośród żarzących się jeszcze resztek, Gotfryd sunął wzrokiem po zniszczonej jadalni, aż jego wzrok padł na siedzącego na czarnej belce mężczyznę, który powitał hrabiego jedynie krótkim skinieniem wygolonej głowy.

Gdyby wilk kiedykolwiek przybrał ludzką skórę i został dopuszczony do życia pośród rodu człowieczego, wyglądałby jak ten mężczyzna. Twarz miał chudą, o rysach ostrych pomimo upływających lat. Ciemne oczy, nieustannie zmrużone, spoglądały na inkwizytora spod gęstych brwi, przedzielonych głębokim marsmem. Niemal całkiem siwe, starannie zadbane wąsy oraz broda zakrywały długą bliznę, ciągnącą się od karku – pod lewym uchem – aż w kącik warg. Wilczy człowiek był odziany w ciemnoniebieski kaftan, podkute buty, na pasie zaś trzymał miecz i zakrzywiony nóż, pochodzący z dalekiego południa.

– Bracie Gotfrydzie, oto Gnierat ze Skały, moja prawa dłoń – oznajmił Zbylut. – Gnieracie, to brat Gotfryd z zakonu dominikanów, inkwizytor. Pomoże nam odnaleźć zabójcę Brzetysława oraz obejrzy obraz.

– Pies Pański – stwierdził bliznowaty mężczyzna, wstając z belki i podając rękę zakonnikowi. Uścisk miał

mocny, lecz Gotfryd, mimo przynależności do stanu duchownego, wciąż zachował dawną siłę z rycerskich lat, toteż nie pozwolił, by zbrojny zmiażdżył mu dłoń.

– Gnierat pilnował, aby nikt nie próbował wejść do środka – wyjaśnił Tur. – Tylko my widzieliśmy z bliska zwłoki oraz ten przekłety obraz. Szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, iż brat przybył do nas, wiedziony ciekawością wobec losu Brzetysława.

– Zapraszam w takim razie. – Gnierat usunął się na bok, pozwalając inkwizytorowi spojrzeć na skulone, skurczone od żaru zwłoki, spoczywające pośród popiołów i zwęglonych resztek mebli.

Niemożliwie poparzona twarz nieboszczyka zastrygła w wyrazie agonii, z szeroko rozwartymi wargi i zapadniętymi oczami. Pozbawione paznokci palce wciąż dzierżyły w uścisku ludzkie zęby. Opodal ciała spoczywały obrócone w węgiel serca, większe niż te w ludzkiej piersi bijące, przybite nożami do poczerniającej podłogi.

Jakkolwiek niezwykle był to zgon, uwagę Gotfryda przykuł obraz wiszący na ścianie. Obraz nietknięty przez szalejący pożar. Na niebieskim tle zostało namalowane popiersie człowieka zgorzałego tak dalece, iż żar pozbawił go nosa oraz uszu, a jego ciało okrywało zbrązowiałe od ognia mięso. Oczy, zupełnie czarne i niemal okrągłe, otwarte były szeroko, podobnie jak pozbawione zębów usta. Niepokój bił od tego nieludzkiego oblicza, uwiecznionego na deskach, których nie ważył się tknąć ogień. Lśniące spojrzenie zjawy

spoglądało na obserwujących ją ludzi, porażając ich wyrazistością swego cierpienia. Zdawało się ono wręcz namacalne, jakby nieruchoma postać miała za chwilę ożyć, wypełniając powietrze swym potępieńczym skowytem.

– Co to jest? – spytał inkwizytor, zwracając posępane oblicze ku Zbylutowi.

– Prezent. Od jednego z mieszczan krakowskich, który zna moją pasję do kolekcjonowania wszelkich osobliwości – odparł Tur, co chwila spoglądając na obraz. – Teraz myślę, że nie był to dar ze szczerego serca, ale klątwa, bo od kiedy to... coś trafiło w moje posiadanie, źle się dzieje w pałacu. Zwierzyna się płoszy, ludzie narzekają na dziwne głosy... a teraz jeszcze to. Nie wiem sam, co o tym myśleć, pożar wybuchł tej samej nocy, której przybyłem tu z Wróżdy, i pewność mam, że to poza mój rozum wykracza. Nawet Gnieratowi języka w gębie brakło, gdyśmy obaczyli nietknięty obraz.

– Ze stałą oraz żywymi sobie radzę – potwierdził hardo bliznowaty wojownik, a z samej aparycji można było wywnioskować, iż nie był to człowiek łatwo przyznający się do słabości. – Ale tego cholerstwa nawet mieczem nie tknę.

Dominikanin klęknął przy skulonych na ziemi zwłokach, z bliska oglądając okaleczone przez ogień ciało. Błękitne oczy inkwizytora powoli chłonęły wszystkie szczegóły – załamania skóry, kolor oparzeń, ułożenie nieboszczyka – aż wreszcie zatrzymały się na przeszytych żelazem sercach i zębach, ściskanych przez martwego w zwęglonych garściach.

– Czy to strzygón? – spytał Gotfryd, unosząc spojrzenie ku obrazowi.

– Skąd brat to wie? – W głosie Zbyluta zabrzmiało niekłamane zdumienie. – Obraz ponoć nosi tytuł *Udręczony Strzygón*.

– Ponoć? – inkwizytor przyjrzał się uważnie szyi martwego człowieka, znajdując po lewej stronie głęboki ślad po ostrzu noża.

– Wojciech Kaletnik, człek, który ofiarował mi obraz, tak go nazywał, lecz sam mówił, iż pewnego tytułu nie zna – wyjaśnił Probus, po czym ponowił swoje pytanie: – Skąd brat wie?

– Dwa serca. Dwakroć więcej zębów niż u zwykłego człeka. Gardło podcięte dla upuszczenia krwi. Oto, co człek ten ofiarował obrazowi – wyjaśnił inkwizytor, starannie wymawiając każde słowo. – Strzygi dwie dusze mają, jeśli zawierzyć opowieściom. Sądzę, iż ten nieszczęśnik przekonany był, iż w obrazie uwięziony jest duch potwora, i chciał go obudzić.

– Dając mu świeże serca, nowe zęby do polowania, krew na ofiarę... Oczywiście! – Tur uderzył pięścią w otwartą dłoń.

– I nowe ciało – dodał Gotfryd. – Swoje.

– Udało mu się? Jak można z nim wojować? – spytał Gnierat rzeczowym tonem.

– Powiedziałem, że ten człowiek w to wierzył, a nie, że tak jest. – Dominikanin wstał, przyglądając się jeszcze

odciskom ciężkich butów w popiele, zalegającym wokół ciała i pod obrazem. – To wasze ślady?

– Tak – odrzekł Gnierat ze wzruszeniem ramion. – Wszedłem przez okno, by dobić pożar, i wtedy to zobaczyłem.

– Kim był? – Gotfryd obrócił się do Zbyluta, wciąż wpatrującego się w obraz demona.

– Władysław herbu Strzelec – odpowiedział magnat, odrywając spojrzenie od błagalnych oczu mary. – Miejscowy rycerz. Dobry człek, przyjaciel i świetny szachista. Nie spodziewałem się, że postrada zdrowe zmysły, by oddawać cześć demonom. Był moim gościem, podobnie jak Brzetysław i wielu innych, ale czuję, że do domów ich odprawię. Te serca nożami przebite... znaczy to, że jeszcze dwóch ludzi padło ofiarą Władysława?

– Nie. Serca są zbyt duże, nawet po dotknięciu ognia. – Inkwizytor wyczekiwał reakcji Tura na tę rewelację. – Należały do wołu.

– Tyle dobrego – westchnął Probus, spuszczać oczy. Gotfrydowi jednak nie umknęło szybkie spojrzenie rzucone przez hrabiego ku Gnieratowi. – Co radzicie?

– Obraz polać oliwą i smołą, a potem spalić – odparł bez namysłu inkwizytor.

– Tyle starczy? – zapytał bliznowaty mężczyzna. – Kołkiem nie przybić?

– Jeśli kołka nie żal.

– Od razu wydam polecenia – powiedział Zbylut. – Im szybciej się pozbędziemy tego plugastwa, tym lepiej.